

LEGENDY

przez

~~Ludwika Strażewicza~~

OPERA
Polskiego Towarzystwa „Oświata”
w Poniowiczu

Katalogowy N.

Inwentarzowy N.



Michał Wiercibny Skrzynicki

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego, Marszałkowska 141.

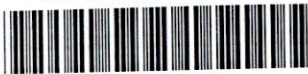
1899.



265194

Дозволено Цензурою
Варшава 23 Августа 1899 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0136765

W/244/02p

4r



G. † M. † B.

265194

Polonia
w Towarzystwie „Oświata”

Katalogowy N

Inwentarzowy N 8



Choć pastuszkowie do szopki betleemskiej przyszedli ze śpiewkami i muzyką, — choć każdy co miał w darze Panu przyniósł — niekontent był Józef z tych odwiedzin.

Staruszek po drodze odpoczynku potrzebował. Od tyłu głosów w uszach mu trzeszczało. Uboga była szopka, ale schludna — pasterze zdeptali podłogę, narobili nieporządku i jeszcze patrzeć trzeba było, żeby który czego nie ściągnął, choć, co prawda, nie tam nie było, bo nawet mały Jezus całej pieluszki nie miał.

Ale że staruszek był zły ze zmęczenia, więc wszędzie zle widział. Na pastuszków nierad spoglądał, dreptał koło żłóbka i zrzędził:

— Nie mogli to jeden z drugim do jutra poczekać. O! Dzieciatkoby spało i jabym spał. Pędziwiatry, po nocach się tłuka!...

Mały Jezusek nie kwili, ale się uśmiecha i rączki wyciąga — śliczny jak malowanie, wdzięczny jak baranek. Matce Przenajświętszej w sercu tak ciepło, że radaby świat cały zwołać i radość a dumę swoją pokazać.

Złożyła Marja jedynaczka z kolan na sianko pachnące i odeszła na stronę, do Józefa. Wzięła go delikatną rączką panięńską za brodę i prosi:

— Mój Józefie, nie gniewaj się, wszakci to oni z kołędą do syna mojego, który się począł z Ducha Świętego, przyszli.

Ale Józef święty ofuknął:

— O! piękne mi kołędniki, same pastuchy! Kiedy ma być królem świata całego, to królowie królewskie dary znosić powinni.

Jezus Chrystus wszystko to słyszał i wszystko rozumiał. Myśli sobie tak:

— Milsza mi radość prostego serca niż podarunek bogaty. A w majestacie Boskim każde serce uczciwe na klejnot się zmienia. Stada swoje opuścili, snu swojego nie żalowali, a przybieżeli mnie powitać. Ale trzeba i sta-

ruszkowieciechę sprawić: sprowadzę królów z darami królewskimi, aby mi pokłon oddali...

I zajął się nad szopką betleemską gwiazdą. A nie mógł nigdy od stworzenia świata gwiazdy takiej nie widział, ani człowiek żaden, ani naród żaden. Nikt też po skończeniu świata takiej już nie ujrzy. A teraz oglądali ją ludzie po wszej ziemi, od zachodu aż do wschodu słońca.

Piękna jest gwiazda zaranna, bo w promieniach jej przelewają się blaski szafirów, rubinów i brylantów; światło jej czyste jako woda rzeźwiąca, a jako sen spokój w duszę ludzką wlewa — ale gwiazda betleemska piękniejszą była.

Oglądali ją wszyscy po wszej ziemi, lecz tylko ludzie czystego serca cudem wiedzieli, co blask jej zwiastuje. A ludzie złego serca niepokój czuli i bojaźń, lękając się dnia sądu Pańskiego.

* * *

Czystego serca byli trzej królowie z dalekiej krainy, poza murami i górami, gdzie w zimie

ziemia biała od śniegu, a w lecie złota od kłóśców, a wino i cytryna tam nie dojrzewa.

Jeden z nich, co się zwał Kacper, wziął złoto, drugi, Melchior — myrrę, a trzeci, Baltazar — kadzidło, i poszli w drogą do betleemskiej szopki.

Zaraz na pierwszych rozstajnych drogach wszyscy trzej się spotkali. Oddali sobie pokłon głęboki i szli dalej razem, a jeden drugiego o nic nie pytał, bo wszyscy w jasną gwiazdę na niebie patrzyli — i wszystko widzieli i wszystko rozumieli.

Ciężkie były ze złota i jedwabiu szaty królewskie i złote korony na głowach ciężkie. A nadto cięższy wiek na barkach zgarbionych, bo włosy ich białe jak przędza lniana i białe brwi krzaczaste nad oczyma i brody białe, pasa sięgające. Rażno jednak kroczą trzej starszanki, bo ich jasność gwiazdy ciągnie do siebie jak pożądanie serdeczne, jak szczęście największe.

Czasem który przystanie, pochylone ramio-

na rozprostuje i znowu brodę naprzód wystawi, kijem po ziemi stuka — a idzie i idzie...

* * *

Aż doszli tak do szerokiego Dunaju i proszą ludzi, aby ich na łódkach przewieźli.

Zbiegli się ludzie z wielu wiosek, bo chcą oglądać niewidzialnych podróżników. Jak mrowie otoczyli dostojne osoby, a najstarszy gospodarz jął pytać:

— A zdaleka ojcowie dążycie?

— Zdaleka — mówi Kacper — kamieniem tam nie dorzuci i w jeden dzień najhyższy koń nie zbiegnie. A kraina nasza niebogata, bo powietrze mroźne, a ziemia wiele potu ludzkiego potrzebuje, aby ziarno rodziła. Częściej tam płacz usłyszycie niżeli wesele. Ale za to ludzie, w pracy i smutku wzrosli, krzepcy jako wiatr północny, a jako poranek zimą zdrowi; i prawdę znają, bo z biedą jako z zębami sypiają.

Ludzie głowami kiwają, bo o krainie nigdy nikt im nie powiedział.

— A dokąd ojcowie? — pytają dalej.

— Do Betleem, gdzie się Pan świata w ubóstwie narodził; idziemy, aby mu cześć oddać i dary ofiarować.

— Pan świata w ubóstwie się narodził?— powtarza mrowie ludzkie i dziwi się.

— A nie widzicie— pyta Melchior— gwiazdy, co na niebie jaśniej od słońca świeci?... Ona nam zwiastowała.

— Oj widzimy, widzimy, ale czy to prostak zrozumie, a nikt nam powiedzieć nie potrafił. U nas wszyscy myślą, że będzie koniec świata.

— To chodźcie z nami...— zaprasza Baltazar.

Ludzie głowy pospuszczali, jeden na drugiego spojrzal.

— Gdzie nam tam biedocie, w taki świat puszczać— prawi za wszystkich gospodarz starszy. — Jadła i napoju by nam nie staro i w drodze byśmy pomarli. Ale skoro, rzukowie, do Pana świata dojdziecie i od pozdrówcie i powiedzcie, że i my u nas, najem, w prostactwie naszym, przy królestwa Jego czekamy A jeźliście

Melchior
Polskiej „Oświata”
w Poniwiewie



łaskawi, zanieście i od nas te dary, które z wdzięcznem sercem dzieciątka składamy.

I jeśli ludzie znosić, co kto w chacie znalazł: witki lnu cienkiego, i sery, i masło, i gomółki i obrazki i jajka. Dziewczyna jedna, co nie w skrzyni nie miała, korale z szyi zdjęła i od korali krańszcza, ostatnie bogactwo swoje dla Chrystusa oddała.

Pobłogosławił ją Kacper, pobłogosławił Melchior i Baltazar, a dziewczyna była niby krew i mleko.

Ale królowie zabrać nie mogli wszystkich darów, więc im ludzie z nad Dunaju dali wóz drabiasty i parę koni. A wóz się napęłnił bogactwem wysoko, jakby sianem i nawet starszkwowie przysięść nie mogli, aby czasem w drodze odpoezać.

— A jak wracać będziecie— prosili jeszcze ludzie— to wstąpcie do nas i opowiedzcie, coście widzieli i słyszeli.

* * *

Poszli trzej królowie i bez przygody przybyli do szopki betleemskiej.

Jak się ptactwo wschodowi słońca raduje, tak rozradował się Józef cieśla, gdy majestat królewski na progu swoim zobaczył. A mały Jezus cieszył się z radości opiekuna swojego.

Cieszył się też Jezus mały z darów królewskich, bo widział, że ze szczerzego serca są przyniesione. A kiedy oczy jego ujrzaly dary prostaczków, niby siano wysoko na wozie złożone, silnie zabiło drobne serduszko i drobne rączki z uciechy wielkiej zaklaskały, twarz się śmiać poczęła, a w czarnych oczętach dwie łzy, jako dwie gwiazdki, zaświeciły...

Wyciągnął dłonie i objął niemi białe głowy królów sędziwych i tulił je do zgrzebnej koszulki ubóstwa swojego, i błogosławił im i śmiał się i płakał ze szczęścia...

Bo w maleńkiej główce jaśniała mu wielka myśl radosna.

— To są słudzy moi najlepsi! W złocie i purpurze chodzą, a serce ich wolne jest od pychy i pełne dobroci. Duchem bożym podzielił się z rzeszą prostactwa i posługi im nie odmówili i stali się sługami ubóstwa. Niemasz w ich sercu ani wzgardy, ani zawiści. Ich

ręka łzy z oka bliźniego nie wyciśnie, a dusze ich otwarte dla brata, jak miłosierdzie przedwieczne dla rodzaju ludzkiego.

I znowu wyciągnął Jezus ramiona i garnał do siebie gości drogich i nacieszyć się nie mógł radością swoją.

— Gdy zakon nowy stanowiąc będę, pa-miątką wieczną dzień ten radości mojej naznaczę. Kapłani moi białą kredę rok rocznie rozdawać będą. A kto kredę w rękę swą weźmie i imiona tych sług moich najlepszych na drzwiach domu swojego nakreśli, ten w przymierze ze mną wejdzie.

Od progu jego ubogi nie odejdzie ubogim, strapiiony — strapionym. Kto potrzebować będzie szaty, da mu szatę, kto chleba — chleba, kto ducha jego i ducha mu da.

A serce jego pysznić się nie będzie przed bratem ani z dostatków, ani z enót, ani z rozumu. A kogo świat skrzywdzi, ten w nim znajdzie przyjaciela i pociechę. Pamięć jego o niedoli ludzkiej uczyni go sługą nędzy.

Jako on bliźniemu, tak ja uczynię jemu.

Błogosławić będę jemu i dzieciom jego, domownikom i dzieciom domowników jego.

A kto białym znakiem drzwi swoje opatrzy, a nie otworzy ich przed ubogim, a nędzę spotka niecierpliwością gniewu, ten będzie jako faryzeusz, którego szaty czyste, ale ciało zbrukane. Gniew mój zawisnie nad głową jego.

Tak będzie aż do ostatniego dnia świata.

* * *

Trzej królowie niedługo w Betleem bawili, bo droga do ich kraju daleka. Idą wolniej, bo kości stare przypominają, ile dni, ile godzin trwa podróż.

Muszą też iść wolniej, bo po drodze patyki i deszczułki zbierają. Na popasach jedne do drugich pasują, radzą, zbijają i kleją. I ukleili szopkę taką akurat, jak w Betleem widzieli. Ustawili żłobek i woła i osła. Z chleba i ciasta ukleili postaci Józefa starego i Marji Panny i Jezusa maleńkiego na sianku.

A kiedy Dunaj przeszli, zwołali też samo mrowie ludzkie, pokazali im pracę swoją, i rzekli:

— Taka ci jest szopka, w której się narodził Pan świata. Oglądajcie!

A potem nauczyli ludzi z za Dunaju pieśni, którą aniół pasterzom, a pasterze Jezusowi śpiewali.

A kiedy się ludzie napatrzyli, trzej królowie rzekli znowu:

— Weźcie tę szopkę, abyscie ją pokazali mogli sąsiadom waszym i sąsiadom sąsiadów waszych. Obwieście ją po kraju całym i śpiewajcie pieśni anielskie, aby kto cudu nie oglądał — widział go; kto pokłonu nie zaniósł — oddał go.

Ponieśli ludzie szopkę do sąsiadów i figury trzech królów do niej wstawili: Kacpra, Melchiora i Baltazara. A sąsiedzi taką samą sobie szopkę uczynili i ponieśli ją do sąsiadów swoich. I ponieśli ją do sąsiadów sąsiadów swoich. I wiele szopek nad Dunajem ludzie pokazywali.

A kiedy rok minął, przypomnieli sobie królów — podróżników i wszyscy szopkę oglądać zapragnęli,

I tak trwa aż po dzień dzisiejszy.

DEKORACJA
Polskiego Państwa „Oświata”
w Poniewieżu

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświata”
w Poznaniu

Katalogowy Nr

Inwentarzowy Nr



Było to już w tych późniejszych czasach, kiedy po świecie chodził święty Piotr ze świętym Janem apostołem. Niemało oni ludziom dobrego zrobili, niejednego nauczyli pożytku, dobrym pociechę przynieśli, a na złego, co się krzywdą bliźniego poił, ciężkie sprawadzili skaranie.

Idą sobie tedy święty Piotr i święty Jan apostoł z południa na północ, minęli węgierską ziemię, przeszli przez wysokie góry, co się nazywają Karpatami. Idą dalej. Wiatr dmuchał im w oczy, ale że był ciepły i miękki, więc im nie dokuczał. W brzdach, gdzie-niedzie, białą jeszcze ostatnie grudki śniegu, a na zagonach zieleniały już pierwsze źdźbła tegorocznej trawki. Aż odezwał się święty Piotr do świętego Jana:

— Wiesz — mówi — Janie, tak jakoś ezczość czuję, pono jeść mi się chce.

— I mnie to samo — odrzecz Jan.

Podniósł głowę do góry i zaczął szukać do-
kola, czy gdzie nie ujrzy bądź dymnika, bądź
dymu. I w rzeczy samej zobaczył rozlażące
się po niebie smugi czarniawego dymu. Świę-
ci pańscy przyspieszyli kroku i wkrótce weszli
do wioski.

Biedna była wioska: chałupy odrapane,
chlewki zwalone, płoty połamane, a błota po
kolana. Ze wszystkich kominów buchał dym
jak z kuźni.

Święci pańscy pozatykali wnet nosy. Nawet
nie próbują wejść do żadnej izby, spieszą po
błocie dalej. W całej wiosce nie, tylko olej
czuć. Dziedzice niebiescy do wonności kadzi-
deł anielskich przywykli, znieść nie mogą tego
zapachu. Jedna chałupa stoi na uboczu, od
niej olej nie zalatuje, ale czuć cebulę i czo-
snek. I tę chatę podróżni minęli — nie przystoi
świętym pańskim zaglądać do karczmy, i do
tego żydowskiej. Dostali się wreszcie na pole.

Staruszek Piotr święty wypuścił nos z ręki
i całą piersią chwycił świeżego powietrza.

— A-a-a!...

A święty Jan dodał:

— Ale też co za ludzie, żeby się takim ole-
iskiem karmić!...

Więc zgromił go zaraz święty Piotr;

— A czemże będą na tej ziemi kartofle
i kapustę krasić? Na nich ty nic nie mów, bo
enotliwi i bogobojni są, przykazanie Jezusa
Chrystusa, Pana naszego, szanują i choć ciężko
im i głodno — poszczą.

Naraz święty Piotr krzyknął tak, że aż
święty Jan się przeląkł, sądząc, że co złego
stało się księciu apostołów, ale mu Piotr
święty powiedział zaraz:

— Toż to ja mam jeszcze w torbie kukury-
dzą, cośmy z węgierskiej ziemi dostali!

— A dajże ją, ojcze, daj — zawołał gwałto-
wnie Jan święty.

Staruszek podał towarzyszowi worek, ale
sam nie jadł.

— Czemu ojciec nie je? — zapytał Jan
święty.

— Bo mi surowa kukurydza szkodzi. Ucieszyłem się, bom sobie nie zaraz przypomniał.

Nie mógł jeść święty Jan, kiedy towarzysz jego głodny nie jadł i szli dalej. Tuż za borem znowu wioska, okopcona dymem.

Staruszek wskazał na jedną chalupę, tak zapadniętą, że dach na ziemi się opiera. Z dymnika, na którym tylko resztki gliny zostały, nie kurzyło się weale.

— Może karczma żydowska? — powiedział Jan święty, trochę już zły.

— A, zobaczyć trzeba.

Podeszli święci Pańscy... nie nie czuć, ani oleju, ani cebuli z czosnkiem. Wącha Piotr święty, wącha Jan święty apostoł — nie nie czuć...

No, dobrze! Szukają podróżni drzwi — nie widać, aż znaleźli schowane pod dachem, całe w ziemi. Zgięli się i wezli do izby. Ciemno. Dopiero trochę poczekawszy zobaczyli, że gospodarz siedzi przed stołem na ławie, wielką czapkę nacisnął na oczy, ręce położył na stole, jedną w kułak zwinął, w drugiej ścisną łyżkę. Widać zły strasznie. Gospodyni stoi przed ko-

minem i oczy fartuchem brudnym zasłania. Na kominie sam popiół, iskierki ani na pokaz. W kącie na tapczanie troje dzieci przytuliło się do siebie i wytrzeszczyło oczy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Pan nasz — odezwał się Piotr święty.

— Na wieki wieków. Witajcie — odmruknął gospodarz takim tonem, jakby gościom niespodziewanym życzył jakiego nieszczęścia.

— Jesteśmy podróżni — mówił staruszek dalej — przyszliśmy do was, może się posilić dacie.

— A ot macie — mruknął znowu gospodarz, spoglądając na komin — pełne garnki stoją, to weźcie.

— Czy to u was taka bieda?

— Et, co tam gadać dużo, we wsi tyle bogaczów mieszka, do nich idźcie.

— Mam ja tu trochę kukurydzy, cośmy ją jeszcze na węgierskiej ziemi dostali. Weźcie no, matko, i ugotujcie, zjemy wszystkie społem.

— A jakże ja ugotuję, kiedy ani drzewa, ani garnka?

— Chyba bym tę drugą ławę porąbał—
odezwał się gospodarz.

— A po garnec skoczyłabym do zdunichy.

— A no, skoczcie, matko—powiedział Jan
święty, apostoł.

— A dobrzy ludzie niech siadają—poprosił
gospodarz, biorąc się do rąbania drugiej ławy.

Długo, długo nie wracała baba z garnkiem,
aż nareszcie wróciła bez garnka.

— A co matko?—zagadnął ją zaraz Jan
święty apostoł.

— Obleciałam wszystkie chałupy, żadna
nie chce dać garnka, nawet skorupy rozbitej,
bodaj im tak ziemia święta...

— Nie klnijcie, kobieto—przerwał jej Piotr
święty—Jezusa Chrystusa, Pana naszego, nie
gniewajcie.

— A to czego—wystąpił chłop—oni nam
chleba kawałka żalują, kartofla jednego dzie-
ciom dać nie chcą. Z głodu mrzem, dziecica-
czyskom już kiszki kurczy, a znikąd pomocy.
A przeciwem ja nie pijak, nie próżniak, nie
łajdak ładajaki, ale nieszczęście i dopust Boży.

Święty Jan apostoł zapalił się gniewem

straszny. Ale Piotr, jako że był starszy
i wyrozumialszy, jął pytać i rozważać dalej.

— A tedy, czemu was sąsiedzi opuścili?

— A czemu pies zdycha, jak zęby połamie,
węch straci i nogi powykręca? Nie od nas
nie potrzebują, to i dać nie chcą.

— To u was we wsi niema ani bojaźni Bo-
żej, ani miłosierdzia?

— O! jak który biedny, to bardzo miłosier-
ny i wie, co przez Boga nakazane. ale niechno
sam dać potrzebuje... to zawdy zapomni.

— A cóż wy biedni ludziska robić będzie-
cie dalej?

— A co, pomrzemy tu. Jak mi głód wię-
cej złości napcha, to babę zaduszę, dzieciaki
poduszę, chałupę podpalę i sam się spalę.

Chłop z całej siły siekierą o ziemię uderzył.

— Chodźmy Janie—powiedział Piotr świę-
ty do towarzysza—bo źle się tu dzieje i ukar-
ać trzeba tych ludzi, co miłosierdzia nie znają
dla biedy.

Poszli dziedzice niebiescy, zachodzili do
każdej izby i Piotr święty z Janem świętym
apostołem rozbijali miski i garnki, czy kto

warzył strawę, czy już ją sobie na stole postawił; i wołali święci pańscy głosem wielkim:

— Nie będziecie jedli źli ludzie, bo nie znacie miłosierdzia, bo Jezusa Chrystusa, Pana naszego, obrażacie, odmawiając strawy bratu waszemu; do końca postu będziecie już głodni, abyście miłosierdzie poznali. Jak my wam garnki, tak Pan porozbija szczęście wasze, mienie wasze, żywot wasz, i zbawienie wasze, jeżeli wy syci będziecie, a wśród was choć jedno usta łaknąć będą.

Strasznie się przerazili ludzie, bo poznali w podróży moc boską. Zaczęli żałować i pokutować za grzechy swoje. A wieść o świętych podróży i garnkach pobitych doszła do wsi drugiej, ztamtąd do trzeciej i dalej, aż kraj cały się dowiedział. I postanowili ludzie, że raz na rok w półpoście po wszej ziemi jedni drugim wszelki statek potłuką i już do Wielkiejnoocy do ust gotowanej strawy nie wezmą. A dzać się to miało na pamiątkę i przypomnienie ludziom, aby miłosierdzie pośród nich żyło, aby biedny nie gorzkie słowo, nie zły wymysł, ale pomoc i ciepłe

serce u bliźniego znalazł, aby głodny brał miał miejsce u komina brata swego.

Wiele wieków upłynęło, i wiele pokoleń pomarło, ludzie o miłosierdziu nie pomną — pozostał tylko pusty zwyczaj tłuczenia garnków

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświata”
w Poniewieżu

Katalogowy N.

Inwentarzowy N. 8



Za sprawą miłości.

(BAJKA).





... Oświata"
Polski ...
... w ...
... atagogowy ...
... Lawontarzow ... 8.



Było to już bardzo dawno — najstarsi ludzie nie umieli mi nigdy powiedzieć, ile lat, ile wieków upłynęło; nikt też nie wiedział na pewno, w której to się stało parafji.

Grzechów mniej jeszcze wtedy ciężyło nad światem, a łaski Bożej było więcej i niebo od ziemi nie tak daleko. Pan Bóg prośby łatwiej wysłuchał i na sprawiedliwość nie trzeba było czekać aż do śmierci.

Wszystkiego było pod dostatkiem: w powietrzu ptactwa, ryb w rzekach, w lasach grzybów i zwierzyny. Na łące i na polu najwyższy chłop z koniem się chował; a zboże było gęste, że sierpa nie wbiłeś i kłos się od samej ziemi zaczynał. Dzisiaj z kłosa ledwie kilka ziarenek wyluszczyysz, a między łodygami wozem przejedziesz.

Ale też i gniew Boży wisiał niżej.

Człowiek tylko był zawsze jednaki. Gdy kara spadała—plakał, gdy Pan różgę odejmował—grzeszył. Więc chociaż słońce jasno świeciło, chociaż pola rodziły bez pracy, choć choroby i wojna omijały, nie było szcześcia na tej ziemi...

Każdy myśli serca swojego przed bliźnim tął, a na ustach kładł tylko kłamstwo a zdradę. Czy się wielu zeszło, czy jeden sam z sobą rozważał, wszędzie i zawsze pełno było zawiści i twardej zawziętości. Człowiek na człowieka patrzył z podelba, jakby wszyscy mężobójcami byli.

Cudowna Matka Boska stała na górze wśród lasów...

Lasy i lasy! Z poza nich słońce wchodzi, za nie zapada. Z nich wysuwają się drogi i w nich giną. Rzeczka też z lasu się pokazuje, zatacza koło, zawraca, skręca kilka razy, wije się, jak gdyby drogę swą przedłużyć chciała—i jej dobrze wygrzać się na słonku—

wreszcie, niechętna, zanurza się w chłodny, ponury cień drzew.

W lecie rzeczka cicha, łagodna, usłużna. Wąziutka jest wtedy i płytka, ustępuje ludziom gruntu pod uprawę i kamieniom z dna pozwala raz jeden na rok zaznać ciepła i suchości.

Co wiosna i co jesień wzbiera, ciemnieje z gniewu i huczy; nie zazna wówczas od niej żalości ni człowiek, ani też żadne stworzenie.

Nikt nie wiedział, kiedy i kto zbudował kaplicę Matce Boskiej. Ludzie myślą, że to musiał być bogacz wielki, bo kaplica duża i wysoka. Przenajświętsza Panienska stoi na muryowanym słupie, w niebieskim płaszczu—jak żywa. Ręce skrzyżowała na piersiach, głowę pochyliła i patrzy z uśmiechem na tych, co się pod Jej obronę uciekają—łaskawa. Nad głową Jej jaśnieje dwanaście złotych gwiazd...

Dawniej, bywało, co sobota, kto żyw w okolicy, przychodził nad wieczorem na litanje i suplikacje. Echa lasów powtarzały słowa prośby gorącej. Zachodzące słońko rzucało

przez okno blaski drgające i przysiągłbyś, że się Matka Chrystusowa radowała ze szczerości ludzkiej, tak Jej oblicze jaśniało...

Na ścianach od góry do dołu ofiary: serea z wosku, krzyże z cyny, wieńce i welony.

Ale teraz w kaplicy cisza przez calutki tydzień. Tylko muchy brzęczą, pająk na nie z kąta do kąta siatkę przeciąga. Wieńce poschły, kurz zbrukał welony.

Oblicze Matki Boskiej coraz mocniej chmurnieje....

* * *

Jeszcze stary Jan, co ma chatę na drugiej górcie, po tamtej stronie rzeczki, pamięta inne czasy. Nieraz opowie, jak Matka Boska w kaplicy wyciągnęła rękę i błogosławiła dwu wrogom, co się u Jej stóp wyrzekli złości, a serea swoje otworzyli dla miłości i zgody.

Stary Jan żyje dawnym obyczajem. To też ludzie mu urągają—jak zawsze sprawiedliwemu. Więc i on stroni od ludzi. Jak nie jest na robocie w lesie, albo na roli, siedzi w chacie.

Nikt tak nie umie, jak stary Jan, barci uszykować.

Ośm krzyżyków dźwiga na spracowanych barkach, a na siwej głowie nieszczęścia życia całego. A im droga do trumny krótsza, tem zmartwienie dokuczliwsze: co po śmierci jego pocznie wnuczka—jedynaczka, Lada?

Urodziwa jest i hoża. Umie i strawę ugotować i izbę przystroić i bydłą dopatrzeć. Nitkę ze lnu uprzedzie od jedwabiu cieńszą. Krosna pod jej ręką jak organy grają. Staremu dziadusiowi dusza się raduje.

Komu ją zostawi? Czy tym ludziom, co się złemu zaprzędali? O innych nie wie—lasy świat zasłaniają!

Żeby gadzinę w sercu nosił, mocniejby go nie gryzła. W dzień nie ma spokoju, w nocy snu, i wie, że choć się do mogiły położy, od poczynku nie znajdzie, jeśli jego jedynaczkę krzywda ludzka nękać będzie.

* * *

Razu jednego stary Jan zabierał się do zaciągnięcia ulla na sosnę, gdy go zeszedł nie-

dźwiedz. Staruszek skoczył, schował się za sosnę. Niedźwiedz zaryczał gniewnie, wstał na tylne łapy, a przednimi drzewo objął, białe kły i czerwoną paszczę pokazał. Pazurami chciał Jana dosięgnąć i dokoła drzewa za nim krążył.

A pod Janem dygotały kolana, a w oczach świat się mienił. Sił mu zabrakło, czuł, że zaraz padnie...

Nie boi się pazurów zwierzęcia, tylko pamięta, że Lada sama na złym świecie zostanie.

Ale Jan był sprawiedliwy, a oko i ręka Boska bliżej były niż dzisiaj.

Ostry topór roztrzaskał kudłatą głowę zwierzęcia.

Przed Janem stał młodzieniec nieznan. Głową pomiędzy gałęzie sosny sięgał. Potężnych ramion niedźwiedźby się uląkł. Na rumianych policzkach kwitło mu zdrowie. Z oczu poczciwa radość nie zdołała całkiem jeszcze spędzić przestrochu...

Stary Jan dziękował zbawcy swemu i prowadził go do chaty.

Lada, ujrawszy gościa, pokraśniała. Gdy

usłyszała, że dziadusia uratował, dziękowała ze łzami, w jasnych, jak kwiat chabrowy, oczach.

Młody Jurek przyszedł w te strony szczęścia szukać.

Pod lasem zaczął sobie chatę budować. Ale szło mu to nie sporo, bo mu w chacie starego Jana dobrze było. W oczach Lady kwitnęło szczęście, jak róże i tulipany...

Jurek ożenił się z Ladą, a starego Jana zaraz potem śmierć zabrała. Umarł spokojny o wnuczkę-jedynaczkę.

Niech mu światłość wiekuista świeci, bo sprawiedliwy był człowiek!

* * *

Jurek i Lada żyli bardzo szczęśliwi, bo jedno kochało drugie nad szczęście własne. Czas im schodził na pracy nieustannej, a krzywda ludzka nie zaciężyła nigdy na ich sumieniu.

Ale minął rok jeden i drugi, a w chacie na górcze za rzeczką nie było słyhać kwilenia dziecka.

Jurek się często zamyśli smutnie. Lada ni z tego ni z owego pokraśnieje, do komory ucieknie i wraca z czerwonymi oczyma.

Widać ich smutek jakiś nurtuje.

Jurek idzie do roboty i myśli:

— Zawsze moją niebogę w chacie samą zostawiać muszę; żebyśmy mieli dziecko, byłoby matce pociechą, mnie radością, a obojgu na starość podporą.

A Lada w chacie przędzie, lzy biedna kuliakiem otrze i w głowie wciąż jedną żalność przesuwa:

— Znowu poszedł mój jedyny. Nie mam żywego obrazu jego ocząt ukochanych, nie mam koło siebie drobnego serduszka; nikt nie uśmiechnie się do mnie, nikt rączką nie wyciągnie!

Raz wrócił Jurek z roboty i zaraz od progu zaczął:

— Trzeba, żebyś ty, Lado, coś dla Matki Boskiej do kaplicy utkała. Możeby welon ładny? Co?

Lada się uśmiechnęła, pobiegła do komory

i wyniosła welon gotowy, biały jak śnieg, przejrzysty jak mgła letnia.

Nazajutrz Jurek cały dzień przy robocie rozważał, jak to w dobrej myśli mężczyzna nie wyprzedzi nigdy kobiety.

Panienska Przechysta ofiarę wdzięcznie przyjęła i za biały welon dała Jurkowi i Ladzie maluchnego synka.

Jeszcze się więcej kochać poczęli...

* * *

Sliczny był letni poranek!

Słońce grzało, ale nie paliło... Ptactwo szczebiotało i lasy szumiały tak łagodnie, jakby matka nucila nad kołyską usypiającego jedynaka.

Jurek wcześniej poszedł do lasu. Lada, słaba jeszcze, wzięła na ręce niemowlę, aby je zanieść do kaplicy Matki Cudownej.

Zeszła z góry ostrożnie, po kamieniach przebyła rzekę. Woda sączyła się cicho po piasku, a promienie słoneczne migotały w niej jak złoto; w tem złocie igrały gromady drobnych rybek.

Lada w kaplicy złożyła synka u stóp Matki Boskiej i sama usiadła na ziemi, aby odpocząć, bo już sił więcej nie miała.

Dziecko spało, a ona odpoczywała długo, długo... Dobrze jej było i błogo w tej ciszy kaplicy, w tem ciepłe letniego słońca, w spokoju i zadowoleniu...

Lada myślała o szczęściu swoim, o Jurku ukochanym, o dziadusi nieboszczyku, a najwięcej o tem, co synka małego kiedyś spotka na świecie. I w sercu jej macierzeńskim urosło wielkie pożądanie szczęścia dla dziecka!

Zaraz, w tej chwili chciała coś zrobić, aby mu je zapewnić.

Niemowlę właśnie otworzyło czarne oczki po śnie. Wzięła je na ręce i z dzieckiem u łona poczęła gorącą modlitwę:

— Marjo, Matko! dałaś nam to drogie małeństwo. Tobie je oddaję. Miej je pod Swoją obroną, wspomagaj i ratuj! Niech będzie sprawiedliwy, jak dziaduś nieboszczyk, dobry jak mój Jurek, szczęśliwy jak ja z nim i z ojcem jegol

Wejrzyj na niego, Święta Panienko! Tobie

jest dany—nazwę go Bohdan, a ubierać będę w kolor nieba, jak ty ubraną jesteś...

Wejrzyj na niego! (Lada powstała i wzniosła syna wysoko), abyś go poznała w dniu, kiedy pomocy Twojej zapotrzebujel

Od pręgu kaplicy odezwał się silny głos Jurka:

— Marjo, Matko! wysłuchaj tej prośby!

* * *

Nic już teraz nie brakowało Jurkowi i Ladzie.

Bohdan miał włosy jasne, jak matka, oczy czarne, jak ojciec i zawsze nosił błękitne sukienki.

A tymczasem grzechy ludzkie miarę przebrały i nadszedł dzień sądu.

Nocy jednej rzeczka wystąpiła z brzegów. Pieniła się i wyla, jak zwierz, co klatkę zdruzgotał, łańcuchy porwał i wściekły pędzi na oslep... Wiatr huczał, pioruny biły, deszcz lał potokami...

Jurek i Lada wyszli przed chatę i słyszeli krzyki tonących. W ciemnościach nocy stra-

szny był ryk burzy, ale rozpacz i przekleństwa ludzkie straszniejsze...

O świecie woda zalała już górkę i wpadła przez próg do kaplicy.

Górka za rzeczką była wyższą. Ale fale rzucały się wciąż wyżej i wyżej. Morze bezbrzeżne pędem wichru sunęło do nóg Jurka i Lady, uderzyło o nie toczącym się na przedzie wałem burej piany, a za chwilę już kolan sięgało...

Jurek i Lada schronili się na dach chaty.

Wszystko dokoła zniknęło, woda uniosła lub zatopiła. Ocaleli oni jedni. Sterczał także nad falami wierzchołek kaplicy.

Nieszczęśliwi krzepili serca nadzieją, że się może potop zatrzyma.

Woda szła wyżej...

Lada jedną ręką obejmowała szyję Jurka, drugą przyciskała synka do piersi. Wieher targał jej włosy jasne, a błękitne jak kwiat chabrowy oczy, błędne z przerażenia, krążyły dokoła, nadaremnie upatrując ratunku.

— Jurku drogi!—mówiły blade jej wargi—umrzemy razem...

— Nie—odrzekł mąż.

— Nie!—krzyknęła kobieta—chcesz nas opuścić?!

— Nie! — powtórzył.

Woda tymczasem wznosiła się coraz wyżej, odnalazła na dachu ostatnie ofiary swoje i szybko szła po nie...

— Trzymaj mocno Bohdana—przemówił—Jurek—i wdrap się na moje ramiona, pomogę ci...

Lada silniej zacisnęła rękę na szyi męża. Teraz zrozumiała.

— Nigdy! Nigdy!—wyłkała.

— Prędko! Tak trzeba... dla dziecka! Może się woda zatrzyma... Żegnaj, ukochanie moje, ja zginę!.. Obyś ty chociaż ocalała... A powiedz mu, niech czasem wspomni ojca...

Lada nie opierała się już. Ledwie zdążyła stanąć na ramionach męża—zniknął pod falą...

Płacz rwał jej piersi, z całej siły przyciskała do siebie dziecko.

Woda sięgała już jej piersi.

— Stań na moich ramionach—przemówiła do syna—i trzymaj się mocno!

— Matusiu!..

— Prędko!... ja tak chcę!... Może się woda wreszcie zatrzyma. Obyś ty chociaż ocalał!.. Żegnaj, synku mój, jedynaku mój, a wspomnij kiedy o ojcu i matce...

Więcej mówić nie mogła, bo jej woda usta zalała.

Nad falami wznosiła się już teraz tylko jasna główka Bohdana i kawałek jego błękitnej sukienki.

* * *

Właśnie w tej chwili Matka Boska Cudowna opuszczała przez szczytowe okno zalaną kaplicę, aby odlecieć do nieba. W połę płaszczka niebieskiego zabrała z sobą wszystkie ofiary.

Wzniósłszy się nad spienione fale potopu, rzuciła okiem dokoła i dostrzegła rozwiewane przez wiatr jasne kędziory Bohdana i niebieską fałdę sukienki.

— To dziecię też przecie do mnie należy; zabiorę je z sobą...

Ujęła delikatnie za jedwabiste kędziory, my-

śląc, że łatwo uniesie maleństwo... Ale dziecko było ciężkie nadspodziewanie, tak ciężkie, że Matka Boska Cudowna rzucić musiała do wody wszystkie ofiary: woskowe serca, krzyże cynowe i welony lniane. Wtedy dopiero obiema rękami dźwignęła dziecko i dziwić się przestała ciężarowi jego. Nóżki Bohdana krzepnącemi palcami mocno ścisnęła umierająca Lada; matki trzymał się ojciec.

— O! — wykrzyknęła Marja, wzruszona i rozradowana, widząc ten nierozzerwalny łańcuch serc. — Znalazłam Trójcę świętych na ziemi.

I w połę płaszczka niebieskiego zabrała ojca z matką, matkę z synem: trzy miłości w jednej miłości, której na imię: **Rodzina**.



265194

WARSZAWSKIE
Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe
Krakowskie-Przedmieście № 87,
I-piętro.

1. Przyjmuje zapisy na Członków i udziały (56 rubli) członkowskie całkowite, oraz w ratach częściowych.

2. Udziela Członkom Towarzystwa pożyczki w wysokościach Ustawą określonych — za opłatą 8% rocznie: a) na osobistą odpowiedzialność, b) za poręczeniem i c) pod zastaw papierów procentowych.

3. Przyjmuje wkłady, to jest oszczędności w summach dowolnych na różne terminy.

Stopę procentową od wkładów płaci w stosunku następującym:

a) od wkładów bezterminowych (oszczędności):

za 3-dniowym wypowiedzeniem . . .	2 1/2%
za 7 „ „ . . .	3%
za 3-miesięcznym „ . . .	4%
za 6 „ „ . . .	4 1/2%

b) od wkładów terminowych (oszczędności)

na czas roczny i dłuższy od 5% do 6%

**Procenty od wkładów wypłacają się co pół roku z dołu
i nie podlegają opłacie podatku dochodowego.**

Biuro Zarządu otwarte codziennie z wyjątkiem świąt od godziny 9-ej rano do 3-ej po południu. W Niedziele i Święta od 1-ej do 3-ej po południu, tylko dla przyjmowania wkładów (oszczędności).

Głównym celem Towarzystwa — które pomimo krótkiego swego istnienia cieszy się dziś już wielkim uznaniem i liczy przeszło 5680 członków — jest udzielanie pożyczek na warunkach przystępnych dla zadośćuczynienia potrzebom gospodarczym, oraz przyjmowania drobnych oszczędności. Towarzystwo w ciągu 1-go roku wydało pożyczek na sumę Rub. 667518 kop. 65, przyjęło wkładów oszczędności Rub. 880636 kop. 95. Wobec dotkliwego braku u nas drobnego kredytu, Warszawskie Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe jest jedyną instytucją, w której szybko i tanio uzyskać można pożyczkę do 300 Rub. W myśl ustawy do instytucji tej mogą należeć wszyscy mieszkańcy Warszawy kupy, przemysłowcy, rzemieślnicy, wyrobownicy, literaci, artyści i t. d. zarówno mężczyźni jak kobiety. Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe ogarnia całą ludność bez różnicy stanów — ma więc szeroko otwarte podwoje dla tych, co myślą o swej przyszłości, pragną w potrzebie uzyskać pożyczkę tanio, a grosz oszczędzony chcą ulokować w bezpiecznym miejscu i na powiększenie kapitału pomocą oprocentowania.

WYDAWNICTWO.

Rozwój przemysłu i rękodziel niesie narodom i jednostkom dobrobyt, ale jednocześnie pod pewnym względem utrudnia walkę o byt. Dawniej, gdy wszędzie wytwórczość była niewielka, a komunikacja trudna, mniej znacząca konkurencja zagranicą, ludzie mniej biegli w fachu znajdowali zawsze pracę i zarobek. Dziś inaczej, dziś rzemieślnikowi potrzebna jest koniecznie znaczna kwalifikacja i z dniem każdym potrzeba ta rośnie. Nie dosyć jest raz się nauczyć rzeczy niezbędnych dla majstra, trzeba się uczyć ciągle, trzeba wiedzieć, jak co gdzieindziej robią. Kto tego zaniedba, pozostanie za innymi i w robocie i w zarobku. Zagranicą wychodzą dla rękodzielników pisma i biblioteki. Ogół rozumie, że to nieodbitcie potrzebne i dla dobrobytu klasy rzemieślniczej i dla postępu przemysłu w kraju. U nas dotychczas nie wiele istnieje wydawnictw podobnych, w każdym razie znacznie mniej, niż nam potrzeba.

Wydawnictwo H. Wawelberga „Biblioteka Przemysłowa“ obliczone nie na spekulację, lecz prowadzone dla pożytku ogólnego, a wskutek tego **bardzo tanie**, tańsze od takich samych wydawnictw zagranicznych, obejmujące dotychczas dzieła następujące:

- 1) L. BRAUSSER i A. SPENNRATH. Podręcznik dla pałacy kottowych. Przetłumaczył na polski i uzupełnił Dr. Felicjan Łaszczyński. Warszawa 1894, in 8-o str. 143, XV. Figur 53. Cena 60 kop.

- 2) ROBERT S. BALL. *Mechanika doświadczalna*. Z drugiego wydania angielskiego przełożył *Stanisław Kramsztyk*. Warszawa 1895 r. in 8-o str. 422, IV. Figur 103. Cena Rs. 1.
- 3) STANISŁAW JAKUBOWICZ, inżynier. *Zarys przedzenia weleny czesankowej*. Warszawa 1895 r., in 8-o str. III, 79. Figur 21. Cena kop. 40.
- 4) FELICJAN PRZYBYCHOWSKI, Inżynier-Chemik, czeladnik garbarski. *Słownik polsko-rosyjsko-niemiecki terminów garbarskich*. Warszawa, 1895 r. in 8-o, str. II, 28. Cena kop. 15.
- 5) E. F. SCHOLL. *Przewodnik dla maszynistów, tłumaczył Alek. Podworski, inżynier-technolog*. Część I. Warszawa 1895 r. in 8-o str. XI 380. Figur 235. Cena Rs. 1 kop. 50. Część II. Warszawa 1897 r. str. 305, VII. Figur 179. Cena Rs. 1 kop. 20.
- 6) M. LAUENTTEIN, inżynier i profesor w Karlsruhe. *Podręcznik mechaniki dla średnich szkół technicznych i samouków*. Przełożył *Józef Hofman*, inżynier. Warszawa 1896 r. in 8-o str. VIII, 256. Figur 141. Cena rs. 1 kop. 10.
- 7) A. JAMIESON. *Zasady Magnetyzmu i Elektryczności, z dopełnieniami D-ra J. Kellera*, profesora szkoły techn. w Chemnitz, przekład z uwzględnieniem ostatniego wydania angielskiego, dokonany przez *St. Stekiewiczca*, kandydata angielskiej fiz. Część I. Warszawa 1897, str. 354. Figur 193. Cena Rs. 1 kop. 35 w oprawie, Rs. 1 kop. 25 bez oprawy. Część II Warszawa, 1897, str. 494. Figur 180. Cena w oprawie Rs. 1 kop. 10, bez oprawy Rs. 1.
- 8) ZYGM. STRASZEWICZ. *Światło elektryczne. Urządzenie i działanie instalacji prywatnych o prądzie stałym. Przewodnik dla monterów, maszynistów i właścicieli instalacji elektrycznych*. Warszawa 1898, Figur 146, str. 302. Cena w oprawie Rs. 1 kop. 20.
- 9) EDWARD WAWRYKIEWICZ. *Nauka rysunków. Wskazówki praktyczne wykonywania rysunków technicznych. Z 29 rysunkami w tekście i 9 tablicami chromolitografowanymi*. Warszawa, 1898, str. 104. Cena w oprawie kop. 75.
- 10) G. LIECKFELD, inż. *Wiadomości praktyczne o motorach gazowych. Rady i wskazówki, któremi kierować się należy przy zakupie, ocenianiu i obchodzeniu się z motorami gazowymi. Z rysunkami w tekście. Przekład z niemieckiego, uzupełniony najnowszymi wiadomościami o motorach gazowych*. Cena w oprawie kop. 65.

DZIEŁA PRZYGOTOWANE DO DRUKU:

- 11) JÓZEF JABŁKOWSKI. *Zasady tkactwa ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu welnianego*. Z rysunkami w tekście.
- 12) STANISŁAW JAKUBOWICZ, inż. *Samoprądnica (Selfaktor)*. Studium teoretyczno-praktyczne. Z rysunkami w tekście.

Książki te dostać można w księgarniach, a także w składni „Kurjera Polskiego“, Marszałkowska № 141.

265194

najtańszej gazety codziennej,

„Kurjera Polskiego“

wychodzącej pod redakcją L. STRASZEWICZA.

„Kurjer Polski“ daje codziennie artykuły wstępne o potrzebach kraju naszego, powieści, telegramy, wiadomości z całego świata i t. d.

Kosztuje na cały rok tylko rubli **cztery**, czyli jednego rubla na kwartał, zarówno w Warszawie (z odnośzeniem do domu) jak po za Warszawą (z przesyłką pocztową).

„Kurjer Polski“ chciałby czytać kom swoim i ogółowi przynieść pożytek jaknajwiększy. O ten pożytek wychodzi—nie o zyski. To też wartość „Kurjera“ a nawet i objętość wzrastać będzie wraz z liczbą prenumeratorów; dla tego chce mieć lepsze pismo, niech inni

zachęca do prenumerowania

„Kurjera Polskiego“